



BESTIA
Z GŁĘBIN

W 1943 roku pracowałem na frachtowcu Mercy, którym transportowaliśmy zaopatrzenie ze Stanów Zjednoczonych do obleganej przez nazistów Wielkiej Brytanii. Cała załoga była świadoma, że na Atlantyku grasują wilcze stada – grupy okrętów podwodnych, które chętnie atakowały wszystkie napotkane statki. Codzienne wyglądanie wszelkich śladów na horyzoncie stawało się rutyną. Kolejne kursy miały bezproblemowo, ale nie znaczyło to, że nasz strach i stres się zmniejszał. Niepewność jutra doprowadziłaby nas wszystkich do szaleństwa, gdyby nie wieczorne odprawy, podczas których nasz dowódca starał się podnosić morale poprzez niewielkie porcje grogu, nucenie szant i odsłuchiwanie starych płyt na leciwym gramofonie. Wychodziłem z tych spotkań krótko po zakończeniu ich oficjalnej części. Wolałem bowiem przechadzać się po pokładzie, i wpatrywać się w nocny ocean. U pozostałych członków załogi wywoływał on pewien rodzaj strachu. Nie trudno zresztą im

się dziwić, ponieważ w bezksiężycowe noce niemożliwym było dostrzec, gdzie kończy się morze, a zaczyna niebo. Dla mnie jednak, nawet w tak ciemne noce, był to kojący widok. Do czasu.

Słyszeliśmy plotki, że naukowcy po obu stronach eksperymentują z nowymi technologiami, które miałyby położyć szybki kres tej wojnie. Lotnictwo, pojazdy opancerzone, okręty, rakiety, potężne bomby, działa o zasięgu dziesiątek kilometrów – to wszystko znajdowało się jednak na brzegu i tu nie miało znaczenia. Nie, dla nas, na środku Atlantyku, jedynym strachem były tylko u-booty, atakujące niespodziewanie spośród fal.

Wachtowy właśnie wybił kolejną szklanekę – godzina 24:00, a to oznaczało, że rozpoczął się kolejny dzień – 17 lipca, moje urodziny. Skończyłem dopiero 30 lat, z czego 3 poświęciłem służbie na tym statku. Dorobiłem się stopnia mata, odpowiednika kaprała w wojskach lądowych, co oznaczało pierwszy stopień podoficerski. Może nie miałem tylu przywilejów, co normalni oficerowie, ale mogłem swobodnie przechadzać się po pokładzie, a że przy okazji przeczesywałem horyzont? To tylko dodatkowy plus. Dziwne, że dziś nikt nie chciał mi towarzyszyć, ponieważ ta noc była piękna. Na niebie nie było żadnej chmury, morze było gładkie, a nad nim unosiła się niewielka mgła. Pełnia księżycy nie tylko wspaniale wszystko oświetlała, ale też sprawiała, że cały obraz wyglądał niczym namalowany przez artystę.

Przechadzałem się po pokładzie już kolejną godzinę. Spora część załogi spała, na stanowisku pozostało jedynie kilka osób, w tym sternik, radiooperator i jeden oficer wachtowy, który czuwał nad wszystkim w imieniu kapitana. Pod pokładem, w maszynowni, działało jeszcze kilka osób, między innymi zastępca mechanika i dwóch palaczy, którzy nieustrudzenie dorzucali węgiel do kotła.

Mercy była starym, liczącym sobie prawie 20 lat parowcem, ale dzięki O'Brienowi – głównemu inżynierowi – sprawiała się nie gorzej, niż nowsze jednostki. Ten stary Irlandczyk traktował statek niczym dziecko – znał każdy jego centymetr, od stępki po czubek masztu. Dlatego też często można było go spotkać, gdy chodził po każdym jego zakamarku nasłuchując i doglądając pracy każdego elementu. Tak było i tym razem, bo spotkałem go na rufie. Wychylał się przez barierkę obserwując kilwater – ślad, który zostawiliśmy za sobą. Na ogół unikałem rozmów z nim, bo zdarzało mu się zachowywać niczym szaleniec. Spędził na statkach całe życie, znał wszystkie morskie legendy i nieraz opowiadał je, gdy za dużo wypił. Oczywiście wszyscy się z nich śmialiśmy, gdy nie było go w pobliżu, ale i tak respektowaliśmy jego wiedzę i doświadczenie. Gdy do niego podszedłem, dostrzegłem jego czerwony nos. Tak... znowu był podпиты. Miał na to swoje wytłumaczenie: „Kiedy łajba przechyla się w lewo, on przechyla się w prawo i wszystko się znosi”. I tym razem postanowił opowiedzieć mi legendę o Krake-

nie – mitycznej bestii, która miała zamieszkiwać Cieśninę Gibraltarską, ale czasem ponoć zapuszczała się na ocean. Oczywiście nikt nie wierzył w te bajki, w końcu mieliśmy już XX wiek. Ten wtedy zawsze ripostował, że w każdej legendzie kryje się ziarno prawdy. Och, jak żałuję, że okazało się, iż miał rację.

Kiedy tak staliśmy i obserwowaliśmy hipnotyzujące fale jakie zostawiał nasz statek, coś mignęło mi w świetle księżyca. Długi i gruby cień przewiął się na tle tarczy naszego naturalnego satelity. Pierwsza nasza myśl była oczywista – peryskop. Pobiegliśmy do najbliższego alarmu, które zamontowane były w wielu miejscach na naszej jednostce i miały być uruchamiane w przypadku dostrzeżenia czegokolwiek podejrzanego. Nim jednak zdążyliśmy dobiec do przełącznika, jednostka zatrzęsała się, jakby w coś uderzyła. Wibracja ta była tak silna, że poprzewracaliśmy się na pokład. O dziwo jednak, nie dało się słyszeć eksplozji, która towarzyszyłaby torpedzie. Z drugiej jednak strony, odbicie się jej od kadłuba nie wywołałoby takiego wstrząsu. Nim zdążyliśmy wstać, znowu coś w nas uderzyło, jednocześnie wydając przeraźliwy ryk. O'Brien błyskawicznie poderwał się na nogi, a w jego zamroczonych alkoholem oczach zobaczyłem błysk przerażenia. Z jego trzęsących się ust wydobył się tylko cichy szept – „Kraken”.

Oczywiście nie uwierzyłem mu, bo przecież takie rzeczy jak potwory morskie nie istnieją. Kiedy sam się podniosłem,

szybko dopadłem do dźwigni alarmu, który po chwili rozbrzmiał na całej jednostce. W takiej sytuacji osoba uruchamiająca syreny miała niezwłocznie stawić się na mostku, a pozostała załoga zajmować swoje stanowiska, więc zostawiając mechanika popędziłem do sterówki. Tam czekali już oficerowie i kapitan. Ci też nie rozumieli, co się dzieje, ale nim zdołałem cokolwiek powiedzieć, odczuliśmy kolejne uderzenie, o wiele mocniejsze od poprzednich. Złożyłem kapitanowi raport z tego, co widziałem i dlaczego uruchomiłem alarm. Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, powietrze rozdarł przeraźliwy ryk. Kiedy wypadliśmy na balkon otaczający sterówkę, dojrzeliliśmy w świetle księżycy przerażający widok.

Kilka potężnych macek wyłoniło się z oceanu i załśniło w blasku księżycy. Zamarliśmy wpatrując się w ten obraz, aż w końcu kapitan wybełkotał krótki rozkaz – „cała naprzód!”. Brzęk telegrafu maszynowego wydawał się rozdzierać uszy, a po krótkiej chwili cała jednostka zadrżała, kiedy silniki wkręcały się na obroty. Kątem oka zobaczyłem, jak O'Brien zbiega po schodach prowadzących w głąb statku, do maszynowni. Poruszał się z nadzwyczajną jak na swoje lata i swój stan zwinnością. Kiedy ponownie odwróciłem się w kierunku wystających z wody macek, tych już tam nie było, ale wiedziałem, że to nie koniec.

Kapitan wyjął klucz, który zawsze nosił przy łańcuszku na szyi i otworzył jedną z szafek na mostku. Każdemu

z obecnych wydał stary karabin, pamiętający jeszcze czasy Wielkiej Wojny i garść amunicji, po czym porozstawiał nas na obu burtach i rufie statku. Tam każdy załadował broń i w ciszy przeczesywał horyzont. Mi przypadło pilnowanie tyłu jednostki, więc nerwowo wypatrywałem jakiegokolwiek śladu kolejnego zagrożenia.

Przez kilka chwil kompletnie nic się nie działo, aż ponownie usłyszeliśmy potężny, ale przytłumiony ryk. Gdy się w niego wsłuchałem, przypominał mi odgłos rogów mgielnych, które były czasem używane na wybrzeżach Anglii. Ich donośne trąbienie było słyszalne z odległości wielu mil, dzięki czemu nawet w największej mgle statki wiedziały, w którą stronę lepiej nie płynąć, jeśli nie chciały uderzyć o skały. W końcu jednak tajemniczy właściciel tych macek wynurzył się z głębi i wtedy go ujrzałem. Jego rozmiary były porażające, mimo, że zapewne większość jego cielska wciąż kryła się pod powierzchnią wody. Na nocnym morzu trudno jest oszacować odległość, ale na oko był kilka długości naszego statku od nas. Mimo to jego ogrom i długość jego macek były jednocześnie imponujące i przerażające. W dodatku, cielsko zdawało się do nas zbliżać. W końcu ponownie skryło się w wodzie, ale wiedzieliśmy, że to dopiero początek.

Nerwowo wypatrywałem jego ponownego wynurzenia się, ale przerwał mi to kolejny wstrząs. Padłem na pokład, gubiąc broń, a gdy wstawałem opierając się o barierkę,

zobaczyłem, że ślad po naszej śrubie zniknął. Właściwie, to nie dało się dostrzec żadnego kilwateru, jakbyśmy stali w miejscu.

Kiedy tak nerwowo patrzyłem w dół rufy, dostrzegłem rosnący pod wodą cień. Nim zdążyłem cokolwiek zrobić, z wody wynurzyły się potężne macki. Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się im z bliska. Wyglądały niczym u ośmiornicy, z przysawkami wielkości ludzkiej głowy i pazurem na końcu każdego z ramion. Gwałtownie opadły na pokład, zgniatając barierki i niewielkiego żurawia, którego wykorzystywaliśmy w portach do przenoszenia lżejszych ładunków. Tuż koło mnie z impetem wylądował wielki kawał metalu, który po bliższych oględzinach okazał się właśnie naszą śrubą napędową. Bestia nie tylko zatrzymała ją, kiedy ta wirowała z pełną prędkością, ale też wyrwała ją z końca wału, unieruchamiając nas permanentnie.

Kadłub jękliwie zaskrzypiał, a cała jednostka zanurzyła się pod naporem macek. Stwór ewidentnie próbował się podźwignąć i wynurzyć jeszcze mocniej. Nawet nie wiem, kiedy dobiegła do mnie reszta załogi i zaczęła ostrzeliwać bestię. Ta nic sobie nie robiła z dziurawiących ją kul i w końcu ukazała nam swoje cielsko. Jej świecące na żółto ślepia miały w sobie pewną hipnotyzującą moc, która sprawiła, że wszyscy opuścili broń i oteńpiałe patrzyli prosto w nie. Nagle pojawił się rozbłysk i ogarnęła mnie ciemność.

Ocknąłem się w pustce, otoczony przez mrok. Pod butami

czułem wilgoć, zupełnie jakbym stał na cienkiej warstwie wody. Ciemność przerywała jedynie lekka poświata wydobywająca się z podłoża. Wokół nie było nic – nie widziałem statku, bestii ani moich towarzyszy. Kiedy zacząłem iść w poszukiwaniu czegokolwiek, ze zdziwieniem stwierdziłem, że moje kroki nie wywołują żadnego odgłosu, a jedynym dowodem, że poruszałem się, były kręgi wody tworzące się pod moimi stopami. Żyłem? Umarłem? Sam nie wiedziałem, co się działo. Myślałem, że może znalazłem się na tej cienkiej granicy pomiędzy naszym światem, a krainą zmarłych? Nigdy nie byłem specjalnie religijny, więc ciężko było mi odpowiedzieć sobie na to pytanie. Kiedy krążyłem tak w ciemności, w mojej głowie przetaczało się mnóstwo myśli. O mojej świadomości, naszym statku, moich towarzyszach, domu i rodzinie. Tu to wszystko nie istniało.

Z zadumy wyrwał mnie dopiero niski, basowy pomruk. Nie potrafiłem określić, skąd dochodził, ale instynktownie obróciłem się w prawą stronę. I wtedy to ujrzałem. Z uwagi na brak punktów odniesienia nie wiem, jak daleko ode mnie znajdowała się ta postać, ale mogłem wyraźnie dostrzec jej kształty. Siedziała ze skrzyżowanymi nogami, ramiona spłotła na klatce piersiowej, a jej głowa? Z jej głowy, a dokładniej z twarzy, wydawały się wyrastać macki różnej długości.

Nie była to bestia, która zaatakowała nasz statek – tamta nie miała ludzkiej anatomii, a w tym wypadku ewidentnie mia-

łem do czynienia z humanoidem. Pierwszym moim odruchem była chęć ucieczki, ale przemożne uczucie ciekawości skłoniło mnie, by podejść bliżej. Gdy zbliżałem się do tej istoty, ta zdawała się rosnąć.

Teraz widziałem więcej detali – jej skóra pokryta była czymś w rodzaju łusek, z których miejscami wyrastały kolce i płetwy... Oczy miała zamknięte, co w połączeniu z jej pozycją nasunęło mi na myśl medytujących mnichów, o których czytałem w jednej z kilku książek, jakie mieliśmy w okrętowej biblioteczce. Pomruk, który słyszałem wcześniej, okazał się być jej oddechem. Wtedy do mnie dotarło – przecież O'Brien zawsze dokładnie opisywał bestie, o których opowiadał. Macki na głowie, łuski, kolce. Jak on, do diabła, nazywał to coś? Cthulhu? Wygląd pasował, ale wedle legend Cthulhu powinien spać w odmętach Pacyfiku, niemal po drugiej stronie świata. Wszystko się zgadzało, poza lokalizacją. Jak to możliwe? Czy faktycznie znajdowałem się w jakimś mitycznym wymiarze, gdzie czas i miejsce nie mają znaczenia? Podszedłem jeszcze bliżej i dotarł do mnie przerażający hałas. Jakby miliony krzyków, oszalałych z bólu i rozpacz, odezwało się jednym momencie.

Wtedy istota otworzyła oczy.

Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, ponownie przeszedł mnie paraliżujący całe ciało dreszcz. Czułem na sobie jego wzrok, który wydawał się przewiercać na wylot moje istnienie. Przed oczami przelatywało mi życie, młodość,